



Mirosław Derecki
JEZIORO GENEWSKIE.
PEJZAŻ SZWAJCARSKI TEMAT POLSKI...

Przyjechałem nad Jezioro Genewskie. Nad szeroko rozlane wśród gór wody owego Lemanu, tak często opisywane przez poetów. Również - przez naszych dziewiętnastowiecznych wieszczów. Przyjechałem do Lozanny na zaproszenie FIPRESCI, żeby uczestniczyć w przeglądzie dorobku kina szwajcarskiego w ostatnim dziesięcioleciu, a tymczasem bezustannie w górzysty pejzaż kantonu Vaud wpisuje mi się... temat polski. Nie tylko dlatego, że związali się na dłużej lub krócej z tym regionem Słowacki, Mickiewicz, Kraszewski, Jeź, Sienkiewicz, Maria Dąbrowska, lecz przede wszystkim z uwagi na dzień dzisiejszy.

Szwajcaria zawsze była życzliwa Polakom. Dzisiaj także śledzi z uważnym zainteresowaniem wszystko to, co się dzieje, co tworzy się w naszym kraju. Wiedzą o nas Szwajcarzy więcej, niż my sami nawet przypuszczamy. Kiedy odlatywałem z Warszawy do Genewy, w Polsce zaczynały się właśnie obrady V Plenum KC PZPR. Już w wieczornych dziennikach radiowych Szwajcarii można było usłyszeć informacje i pierwsze komentarze na temat Plenum. W sobotę rano, 17 października, w pokoju Hotel de Voyageurs, przysiadłym przy wąskiej, staromiejskiej uliczce Grand-Saint-Jean, włączyłem radio i usłyszałem... znajomy dźwięk kurantu, wybijanego co godzinę przez zegar na gdańskiej wieży ratuszowej: pierwsze dźwięki „Roty”. Jeszcze tak niedawno, w połowie września, słuchałem tej melodii z okna hotelu „Jantar” na Długim Targu, w czasie gdańskiego festiwalu polskich filmów fabularnych. Teraz Gdańsk przywędrował do historycznej, pamiętającej czasy rzymskie Lozanny. Od 8.30 do 9.00 rano szła w radiu szwajcarskim wielka audycja o Gdańsku, o jego historii, jego polskości, o jego zabytkach, o Westerplatte. Grały organy w katedrze Najświętszej Marii Panny, niósł się śpiew z kościoła św. Brygidy, płynęła nad Lemanem opowieść o polskim mieście, które przez wieki rosło w siłę i dostatek. I zawsze było przeciwne jakiegokolwiek przemocy...

Potem wyszedłem na ulicę. Na wystawie księgarni, zaraz obok wejścia do hotelu, czerwieniła się okładka podręcznika Wandy Przywarskiej i Marii Grała „W Polsce po polsku.

Cours élémentaire de langue polonaise pour les francophones”. Na drugiej wystawie, wśród rozłożonych tomików poetyckich, wyróżniał się jeden, zatytułowany: „Miłosz”. Wstąpiłem do kiosku naprzeciwko i kupiłem, zrosnięty od niespełna dwustu lat z tutejszą społecznością - dziennik, założony w 1798 roku „Gazette de Lausanne”. Przez górną część kolumny, poświęconej wydarzeniom z ostatniej chwili, biegł złożony grubymi czcionkami tytuł: „Pologne: accord sur le gel des prix”, „Polska - zgoda na zamrożenie cen”. Wśród szeregu doniesień z Polski podano, że w piątek w Warszawie panował całkowity spokój. Natomiast wzrost napięcia w Polsce spowodował rano lekką zmianę nastrojów na giełdach Zurychu i Londynu.

Casino de Montbenon zostało zbudowane przez Radę Miejską Lozanny w 1907 roku jako tzw. kursal. To znaczy - budowla rekreacyjno-rozrywkowa dla przybywających tłumnie do Lozanny letników, turystów i kuracjuszy. A także dla miejscowej ludności, która od setek lat traktowała rozległe, płaskie, porośnięte drzewami wzgórze Montbenon - jako miejsce spacerów, odpoczynku i zabaw. Zaś miejscowe władze - jako, dodatkowo, teren parad wojskowych.

Wzgórze Montbenon zawieszona jest niby wielki taras nad odległym o około 1.5 kilometra Jeziorze Genewskim. Widok jest stąd ogromny, panoramiczny, po lewej stronie wznoszą się skaliste, ośnieżone szczyty Alp, u których podnóża przysiadły nad samym jeziorem perły „szwajcarskiej Riwiery”: Vevey, Montreaux, Villeneuve. Na wprost, po drugiej stronie jeziora, Alpy francuskie i słynna francuska miejscowość kuracyjna Evian. Na prawo - łagodniejący krajobraz górski i rozlewające się coraz szerzej wody Lemanu. Gdzieś na ich krańcach, za horyzontem, leży Genewa...

Ainsi, nous de Gryon

Dansons en Taveyanne

Comme ceux da Lausanne

Dansent sur Montbenon

Tak mówi jedna ze zwrotek znanej w Szwajcarii pieśni Juste Oliviera, wspominając między innymi o roztańczonym wzgórzu Montbenon. Casino de Montbenon miało więc nawiązywać do tradycji. Wzniesiono rozległy, secesyjny budynek, zwieńczony wieżyczkami przypominającymi trochę chińskie pagody, centralną, okrągłą salę restauracyjną przykryto kopułą. Poza restauracją i ogromnym „spacerowym” hallem, znajdowały się tutaj liczne sale i salony. W jednej z sal koncertował na początku stulecia, zamieszkały w pobliskim Marges Ignacy Paderewski.

Niech nikogo nie myli nazwa: Casino de Montbenon nigdy nie było - w odróżnieniu od Montreaux - przybytkiem gier hazardowych. Rada Miejska, wznosząc budynek, zastrzegła wyraźnie, że będzie on służył jedynie celom rozrywkowym w najlepiej pojętym tego słowa

znaczeniu. Odbывwały się więc tutaj koncerty, organizowane były zabawy i bale, można było zjeść w Casino dobry obiad, wypić filiżankę kawy lub szklaneczkę wina. Z tarasu Casino de Montbenon można było podziwiać piękno krajobrazu, lub wyruszyć stąd w dół stromymi uliczkami na długi spacer, aż do rozłożonej nad samym brzegiem jeziora dzielnicy Ouchy - niegdyś wioski rybackiej - i tam karmić pływające na falach łabędzie. Lub wsiąść na spacerowy, boczno-kołowy parowiec i popłynąć w stronę Vevey i Montreaux na zwiedzania średniowiecznego, malowniczo położonego zamku Chillon.

Później... później moda na Casino de Montbenon się skończyła; skończyły się długie suknie z trenem i lekkie, chroniące delikatną cerę pięknych dam, umbrelki. Letnicy schodzili coraz bardziej w dół ku brzegom Jeziora Genewskiego, plasując się w wygodnych hotelach i pensjonatach Ouchy, które wabiło przystanią jachtową, chłodnym powiewem ciągnącym od wody i wspinałym nadbrzeżnym bulwarem porośniętym platanami. Przez wiele lat budynek na wzgórzu Montbenon stał pusty i zapomniany.

Na początku lat siedemdziesiątych ktoś wpadł na pomysł, żeby go rozebrać, a na tym miejscu postawić gmach konserwatorium muzycznego. Kiedy miejscowym władzom konserwatorskim udało się wybronić zabytkową budowlę przed zagładą, ktoś inny rzucił projekt zbudowania na stoku wzgórza ogromnego, wielopiętrowego garażu samochodowego. Szczęśliwie zdrowy rozsądek zwyciężył: garaż wzniesiono w trochę innym miejscu, a co więcej, w 1976 r. podjęto uchwałę o odbudowie i rekonstrukcji Casino de Montbenon z przeznaczeniem na rodzaj centrum kulturalnego. Lwią część pomieszczenia miała zająć FilMOTEKA Szwajcarska, jedyna tego rodzaju placówka w kraju założona jeszcze w 1948 roku, ale mieszcząca się w nader niedogodnych warunkach lokalowych, na Starym Mieście, w pobliżu uniwersytetu.

Kto zna choć trochę stosunki szwajcarskie, ten wie, że jeśli chodzi o sprawy kultury, nie szasta się tam pieniędzmi. Oczywiście Szwajcarzy oglądają wszystko to, co najciekawsze z dziedziny sztuki na świecie, bo mają dość pieniędzy, żeby sprawdzać do swego kraju najsłynniejsze zespoły teatralne, muzyczne, wybitnych artystów, najambitniejsze filmy. Natomiast u siebie na miejscu, liczą każdy grosz. Dotacji na cele kulturalne wcale nie przyznaje się w Szwajcarii lekką ręką. I charakterystyczne jest, że nie ma tutaj – w odróżnieniu od większości krajów na świecie – wyodrębnionego, osobnego ministerstwa kultury i sztuki. Dotacja na rozwój sztuki filmowej jest wyjątkowo niska w stosunku, na przykład, do dotacji wspomagającej teatr i operę. Nic więc dziwnego, że rodzimy film dreptał przez szereg lat w miejscu, dając znać o sobie naprawdę dopiero w ostatnim dziesięcioleciu. Wielu reżyserów szwajcarskich kreci filmy za granicą, pod „barwami” francuskimi, włoskimi, angielskim czy niemieckimi. Dlatego przeciętny widz światowy rzadko kiedy ma świadomość, że Claude Goretta, Alain Tanner, Daniel Schmid, Michael Soutter – to

Szwajcarzy i współtwórcy nowego kina szwajcarskiego, a Jean Luc Godard - choć urodzony w Paryżu - wychował się w Szwajcarii i swoje pierwsze kroki filmowe stawiał przed laty właśnie w Lozannie. Toteż oddanie przez władze miejskie Lozanny znacznej części pomieszczeń Casina de Montbenon we władanie Filmotece Szwajcarskiej stało się wielkim wydarzeniem kulturalnym, a inauguracja instytucji w tej budowli odbiła się szerokim echem w całej prasie szwajcarskiej.

Nic chodzi tylko o sam fakt uzyskania przez Filmotekę godziwych pomieszczeń, ale o to, że teraz ta promieniująca na cały kraj kulturą filmową placówka będzie mogła przystąpić do prawdziwej ofensywy, mającej na celu rozwój kinematografii szwajcarskiej. Miedzy innymi - poprzez stałe kształtowanie i podnoszenie poziomu wiedzy filmowej szwajcarskiej młodzieży.

Filmoteka Szwajcarska została założona w 1913 roku, ale dopiero w kilka lat później, wraz z pojawieniem się w Lozannie Freddy Buache'a, jej działalność zaczęła nabierać realnych kształtów. Dyrektor, Freddy Buache, jest dzisiaj jowialnym, o niekonwencjonalnym sposobie bycia, potężnie zbudowanym panem z zawieszonym staropolskim wąsem a la Wałęsa. Trzydzieści lat temu, urzeczony filmem, znalazł się w Paryżu, gdzie wszedł w krąg ludzi skupionych wokół słynnej filmoteki Francuskiej. W Paryżu poznał m.in. Préverta, Franju, Sartre'a. Pomagał w organizowaniu festiwalu filmowych stojących w opozycji do kina komercyjnego. Poznał Picassa. Zaprzyjaźnił z wieloma młodymi filmowcami, którzy stworzyli następnie francuską nową falę. Kiedy przyjechał do Lozanny, szybko stanął na czele tamtejszej filmoteki. Dzisiaj jest największym ekspertem w sprawach kina szwajcarskiego (i nie tylko, tego), autorem szeregu książek o kinie helweckim. Wiele razy uczestniczył m.in. w polskich festiwalach filmowych, zna doskonale nasze kino i porusza się bez trudu po Gdańsku, Warszawie i Krakowie. Rozwój kina szwajcarskiego to w wielkiej mierze także jego zasługa. Dziennikarzowi zwierzył się: „En 1950. Il etait inconcevable de se dire, en Suisse: je veux fair du Cinema” - „W roku 1950 powiedzieć sobie w Szwajcarii: chcę tutaj kręcić filmy - było rzeczą wręcz niepojętą”. Dzisiaj widać, że warto jednak było próbować, bo kinematografia szwajcarska stała się faktem, choć mało o niej wciąż jeszcze wiadomo w świecie.

Zaczynano kiedyś prawie od zera. Dzisiaj Filmoteka Szwajcarska ma w swoich zbiorach 7350 filmów długometrażowych, 6300 krótkometrażowych, 354 tysiące skatalogowanych fotosów, 20 tysięcy afiszów filmowych. Ponadto - zbiór 250 starych aparatów filmowych, księgozbiór liczący 8800 tomów poświęconych problematyce filmowej i ponad 50 tysięcy wycinków prasowych. Ma do swojej dyspozycji salkę filmową o 103 miejscach, nazwaną „Kinematografem” i mieszczącą się w przyziemiu budynku Casino de Montbenon. Służy ona do „roboczych” przeglądów, tutaj też odbywają się stałe projekcje

filmów archiwalnych (ułożone w odpowiednie cykle) dla krytyków, oraz dla członków klubów filmowych. Premiery nowych filmów będą się odbywały w wielkiej, pięknej, mogącej pomieścić 500 osób Sali Paderewskiego - nazwanej tak po ostatnim remoncie dla uczczenia wielkiego Polaka, którym chlubią się także Szwajcarzy. To właśnie w tej sali koncertował niegdyś Paderewski.

Uroczyste otwarcie Casino de Montbenon oraz Filmoteki Szwajcarskiej przewidywano na poniedziałek, 19 października. Już jednak w niedzielę rozpoczęło się międzynarodowe kolokwium FIPRESCI poświęcone nowemu kinu szwajcarskiemu, przedstawiono pierwsze filmy.

Wśród wielu nazwisk mniej lub więcej znanych, miałem możliwość zapoznać się po raz pierwszy - nie tylko ze słyszenia - z osobowością artystyczną i ze sztuką filmową Daniela Schmida. Poza „retrospektywnym”, fabularnym „Heute Nacht oder nie” pokazano najnowszy film Schmida, dopiero co ukończoną i jeszcze nigdzie, nie prezentowaną „Notre-Dame de la Croisette” ze znaną francuską aktorką młodego pokolenia Bulle Ogier, Bobem Rafelsonem, Jean-Claude Brialem oraz córką słynnego tancerza polskiego pochodzenia, Wacława Niżyńskiego - leciwą lecz ekscentryczną Kirą Nijjinski. Film ten wzbudził ogromne zainteresowanie publiczności i krytyki, był jednym z „gwoździ” filmowych prezentacji, zarówno ze względu na osobę autora, jak i z uwagi na temat. „Notre-Dame de la Croisette” jawi bowiem fabułą robioną metodą paradokumentalną (czy też może: fabularyzowanym dokumentem?), dziejącą się w czasie ostatniego festiwalu filmowego w Cannes. Bulle Ogier gra dziewczynę zafascynowaną festiwalowym blichтром, która przyjechała do Cannes i stara się za wszelką cenę wkręcić na pokazy festiwalowe - udając już to dziennikarkę, która zgubiła zaproszenie, już to artystkę filmową, którą zaprosić zapomniano. Choć wykazuje naprawdę mnóstwo pomysłowości, nie potrafi przecież zmylić czujności festiwalowej służby porządkowej i musi, chcąc nie chcąc, oglądać festiwal na ekranie hotelowego telewizora. Film satyryczny i smutny zarazem. Zrobiony z ogromnym „pazurem”, jeżeli chodzi o technikę filmowania, z dokumentalistyczną maestrią. „Wpuszczona” w tłum, autentyczny tłum festiwalowy. Bulle Ogier jest śledzona przez wszędobylską kamerę Schmida, i... nikt z otaczających ją osób nie zauważa, że oto powstaje tutaj - z ich bezwiednym udziałem - film. Byłby film Schmida tylko może zręcznym „reportażem”, błyskotliwą „obyczajówką”, gdyby nie fakt, że reżyser zderza nierealny świst Cannes z wypadkami bardzo realnymi, zachodzącymi właśnie w tym samym czasie na świecie. (Bohaterka ogląda wszystko - „jak leci” - w telewizji.) Te wydarzenia (i zresztą cały film Schmida) otwierają długie sceny telewizyjnej relacji o zamachu na papieża Jana Pawła II, komentowane przez... polskiego dziennikarza, po polsku oczywiście (Ten sam fragment polscy telewidzowie oglądali w TYP,

w dniu zamachu.) Później, już w „fabularnej” części filmu, podczas autentycznej konferencji prasowej z udziałem Jacka Nicholsona, wychwytuje nagle moment kiedy fotoreporter tygodnika „Film”, Jerzy Kośnik, przypina Nicholsonowi do kłapy marynarki znaczek „Solidarności”...

W wymiarze zupełnie realnym natomiast, w pejzaż niedzielnej Lozanny 18 października 1981 r. wpisał się mocnym akcentem numer miejscowej „Tribune – Dimanche” z ogromnym barwnym rysunkiem na pierwszej stronie, przedstawiającym polskiego rolnika siejącego zboże, oraz postępującego za nim oracza. „La Pologne de la disette” – „Polska wobec głodu” głosił wielki tytuł. W numerze cała rozkładówka poświęcona była fotoreportażowi z Polski - zdjęcia kolejek, pustych sklepów i kartek żywnościowych. Zapowiadano też pięcioodcinkowy cykl artykułów specjalnego wysłannika gazety na temat tego, co się dzieje obecnie w Polsce.

Wieczorem radio podało wiadomość o objęciu funkcji pierwszego sekretarza KC PZPR przez generała Jaruzelskiego. Następnego dnia cała poranna prasa światowa, wraz ze szwajcarską oczywiście, trzęsła się od wiadomości i komentarzy na temat niedzielnego wydarzenia. Francuski „Le Figaro” rzucił na pierwszą kolumnę zdania: „Jaruzelski remplace Kania á la direction du P.O.U.P. Pologne: la dernière Chance”, lozanneńska „Tribune - Le Matin” pytała na ostatniej stronie: „Pologne: Jaruzelski comme Piłsudski? itd., itp.

A wieczorem w Casino de Montbenon odbywała się wielka gala. Na otwarciu przybyły znakomitości federalne, kantonalne i miejscowe. Sala Paderewskiego wypełniona była do ostatniego miejsca, ludzie stali w przejściach pod ścianami. Rozpoczęła się seria przemówień. Były to prawdziwe popisy oratorskie, takie, w jakich gustują Francuzi, i które mają swój godny odpowiednik tutaj, we francuskojęzycznej części Szwajcarii. Prawdziwą furorę zrobił jednak znany reżyser francuski, Claude Autant-Lara, twórca m.in. „Diabła wcielonego” i „Czerwonej Oberży”, zaproszony specjalnie do Lozanny w związku z retrospektywą jego twórczości w FilMOTECE oraz wielką wystawą jego rysunków i szkiców plastycznych do filmów. Claude Autant-Lara, drobny, siwowłosy starszy pan, nieskazitelnie ubrany, skłoniwszy się lekko w stronę przedstawiciela Rządu Federalnego, rozpoczął w te słowa: „Excellence, Mesdames et Messieurs! Jako oddany wielbiciel Stendhala... jako człowiek, który zachwyca się myślą Voltaire'a...” Na sali powiało minioną epoką tymi pięknymi czasami, kiedy wszystko wydawało się proste, słuszne, czyste i szlachetne...

Na koniec była niespodzianka. W głębi sceny Sali Paderewskiego rozsunęły się kotary, załśniła biel ekranu. Zgasły światła. Rozpoczął się pierwszy, inauguracyjny pokaz filmowy. Snop światła z kabiny projekcyjnej rzucił na płótno obraz starego człowieka we fraku, z grzywą siwych włosów. Stary człowiek siedział przy fortepianie, grał „Rapsodię węgierską”

Liszta... Był to fragment amerykańskiej kroniki filmowej z początku lat czterdziestych. Ignacy Paderewski przybył wówczas po raz ostatni do Ameryki. Był to już jego ostatni koncert przed śmiercią.

Mistrz grał. Silny, porywający, wciąż wspaniały. Choć widać było, że ręce ma już bardzo stare. I że ciężko mu, i że odchodzi... Przypomniałem sobie wielkie zdjęcia Paderewskiego eksponowane teraz tutaj, w Lozannie, u wejścia do sali jego imienia. Rok 1910 - Paderewski w warszawskich Łazienkach; Paderewski, piękny młody mężczyzna z burzą złocistych włosów otaczających jego czoło, z eleganckim cylindrem w ręku. Paderewski - w roku 1919: już nie tylko artysta, ale także mąż stanu; poważny, szlachetnej postawy mężczyzna, premier rządu odrodzonej Rzeczypospolitej. I wreszcie: Paderewski, stary człowiek, przemawiający w Stanach Zjednoczonych, na międzynarodowym forum, w sprawie Polski, która znowu walczy o wolność...

Mistrz grał. Myślałem, o tym wszystkim, o kraju, o nas w Polsce żyjących. Myślałem o tym wszystkim, choć tak pięknie było tutaj, tak dobrze było w Lozannie, nad szeroko rozlanym, milczącym Lemanem.

Pierwodruk: „Kamena”, 1981, nr 24, s. 4.